

Tomasz Lerski

JANUSZ KUKUŁA JA TO KTOŚ INNY

Wspomnienia dyrektora Teatru Polskiego Radia

CZY
TEL
NIK

Tomasz Lerski

J A N U S Z

K U K U Ł A

JA TO KTOŚ INNY

Wspomnienia dyrektora Teatru Polskiego Radia

Czytelnik

Aktorom polskim dedykuje

*Bo ja to ktoś inny. Jeśli miedź budzi się jako trąbka,
nie ma w tym jej winy. To dla mnie oczywiste: jestem obecny
przy wykluwaniu się mojej myśli: oglądam ją, słucham jej;
pociągam smyczkiem: symfonia zaczyna drgać w głębiach
lub jednym skokiem zjawia się na scenie.*

Artur Rimbaud

Artur Rimbaud, poeta przeklęty... Trafiłem do Niego długą drogą, bo najpierw był zachwyty dla Rafała Wojaczka, który wierzył, że dusza Artura Rimbauda zamieszkała z Nim. Może tak było? Rafał żył 26 lat, Artur 37. Tytuł tej książki wziętem od Rimbauda. Czy mi to wybaczy? Bardzo Go o to proszę... Oczywiście miałem wiele pomysłów, bo wiem, jak ważny to element każdej książki, ale nie potrafiłem zrezygnować z tego pięknego cytatu. Jest w nim tajemnica, bezradność i niepewność. Trochę się tego wstydzę, bo wiem, że stchórzyłem przed samym sobą. Zdjęcie na okładce też mówi o tym, jak bardzo nie znam siebie i jak bardzo bym chciał, by było inaczej. „Nosce te ipsum” – te słowa wyryto na frontonie świątyni Apollina w Delfach. Sokrates poszedł krok dalej: „Poznaj samego siebie, a stanie przed tobą otworem cały świat”. Nie wiem, czy jemu się to udało? Mnie na pewno nie... Wiem, że to skomplikowane, ale nie potrafię opisać tego jaśniej. Nie będę już próbował. Niczego więcej już nie napiszę.

J.K.

Autobiografia dyrektora Teatru Polskiego Radia

Literatura poświęcona rodzimemu teatrowi radiowemu jest w Polsce dość skromna; fakt ten stoi w jawnej sprzeczności z ogromem osiągnięć i dorobku tej jedynej w swoim rodzaju sceny. Cennym uzupełnieniem tego niedostatku stają się wspomnienia Janusza Kukuły, spisane i zredagowane przez dr. Tomasza Lerskiego pod przewrotnym stwierdzeniem, zawartym w tytule: „Ja to ktoś inny”. Czy tak jest w rzeczywistości, autor odpowiada na wielu kartach swych wspomnień: od narodzin i lat dzieciennych poczynając, aż do miejsca, w którym obecnie się znajduje, czyli stanowiska dyrektora Teatru Polskiego Radia.

Janusz Kukuła jest najdłużej urzędującym dyrektorem tej instytucji, istniejącej od 1925 roku, a także reżyserem i promotorem zarówno dramaturgów radiowych, jak też setek wykonawców. Jego gabinet, zasypany dziełkami maszynopisów, przeznaczonych do lektury i realizacji w studium nagrań radiowych, bez trudu dowodzi znaczenia, wszechstronności oraz nieprzeliczalnego wręcz dorobku radiowej sceny.

Na początku opowieści o życiu i ludziach, których spotkał na swej drodze, Janusz Kukuła szkicuje piękne obrazy z odległej przeszłości. Tytułuje je wdzięcznie: „Kropelki deszczu”, „Mocne słońce”, „Czerwony rowerek”, „Wysoki kamień”... Są one bardzo ważne, nie mają w sobie niczego z błahostki. Prowadzą nas (i bohatera pamiętnika) do „Dłoni Mamy” oraz „Rodzinnej kroniki”, która jest, co zrozumiałe, najobszerniejsza. Toczy się jej narracja podczas wojny i po wojnie, co oznacza dla bohatera kolejne przeprowadzki, nowe mieszkania, nowe szkoły oraz nowych nauczycieli. I nowe pejzaże, na które autor patrzył zawsze z nieukrywanym zachwytem. Wartość literacka wspomnień nie ustępuje ich treści merytorycznej, czego dowodzą piękne fragmenty, jak np. opis zimy w Brzegu czy spaceru brzegiem Bałtyku zimą porą. Wśród reminiscencji pierwszych przeżyć pojawiło się znamienne „zielone oko”, umieszczone w dawnym aparacie radiowym, oczywiście wepchnięte przez chłopca do środka skrzynki. Jak napisał Janusz Kukuła: „Ta chwila wraca do mnie niekiedy w snach”. Dodam, że w snach dławiących... Dla przyszłych losów Janusza Kukuły ważne są informacje, że oto już w liceum pisał i wystawiał wraz z kolegami sztuki, że podejmował próby poetyckie, że studia polonistyczne na Uniwersytecie Śląskim zakończył pracą magisterską o Norwidzie (pod kierunkiem prof. Ireneusza Opackiego). Norwid kierował niejako także jego dalszym życiem... Wreszcie odnalazł swoje powołanie: na tym samym uniwersytecie rozpoczął studia reżyserskie, podczas których po raz pierwszy spotkał się ze znakomitościami świata teatru. Prawdziwymi osobowościami, przewijającymi się nieustannie na katowickim Wydziale Radia i Telewizji. Autor przywołuje ich nazwiska – Juliusz

Owidzki, Zbigniew Kopalko, Andrzej Zakrzewski, Andrzej Pruski, Zdzisław Dąbrowski, Henryk Rozen, Józef Opalski, Danuta Michałowska... Każdej z tych osobistości Janusz Kukuła poświęcił wiele oddzielnej uwagi.

Główny wątek książki Janusz Kukuła podporządkował rozważaniom o ważnych i gruntownych przemianach, jakim przez ostatnie dziesięciolecie podlegał Teatr Polskiego Radia. Dla zainteresowanych sztuką teatru wyobraźni, a zwłaszcza tych, którzy aspirują do pracy w zawodach radiowych, są to bezcenne, bo fachowe, spostrzeżenia, analizy i konkluzje. W tej części książka Janusza Kukuły zamienia się wręcz w podręcznik sztuki radiowej, podnosząc dalece wartość merytoryczną książki, skreślonej ręką wybitnego profesjonalisty. A ponieważ jest to przede wszystkim sztuka słowa, zatem o jej randze stanowią mistrzowie tegoż, czyli aktorzy. Książka Janusza Kukuły zawiera w alfabetycznym porządku minibiografie przeszło setki aktorów, mistrzów słowa, związanych z teatrem wyobraźni za czasów jego dyrekcji (to już prawie trzydzieści lat!) Są to aktorzy różnych pokoleń, od najstarszych i obecnie nieżyjących (Jan Ciecierski, Stanisława Perzanowska, Irena Kwiatkowska, Aleksander Bardini, Bronisław Pawlik, Krzysztof Chamiec, Gustaw Holoubek, Barbara Krafftówna, Wojciech Siemion, Franciszek Pieczka), poprzez generację wieku średniego (Krzysztof Kolberger, Krzysztof Kołbasiuk, Marek Obertyn), aż do najmłodszych (Anna Cieślak, Zbigniew Zamachowski, Jacek Braciak, Michał Żebrowski). Równie poważna jest liczba postaci pracowników Polskiego Radia, sportretowanych przez Janusza Kukułę na podobnych zasadach.

Znamienną zasługą dyrekcji Teatru Polskiego Radia i osobiście jego Dyrektora jest przyznawanie prestiżowych nagród wykonawcom teatru radiowego (Złotego Mikrofonu i Wielkiego Splendoru). Wielkie wręcz znaczenie dla świata polskiego teatru mają też festiwale „Dwa Teatry” i nagrody przyznawane dla najlepszych spektakli radia i telewizji. Tą drogą rośnie artystyczna ranga słuchowisk radiowych oraz ich społeczne znaczenie. Działalność Teatru Polskiego Radia dzięki Januszowi Kukule zyskała także trwałą wizerunek: w Baranowie Sandomierskim, w sąsiedztwie słynnego zamku, powstało Muzeum Teatru Wyobraźni! Mogą się tam spotykać, pracować i dyskutować twórcy, artyści i badacze sztuki radiowej oraz jej miłośnicy – słuchacze. Sztuka ta jest wszak niezbywalną częścią narodowej kultury, a to dzięki powszechności odbioru i wzorcowemu spełnianiu misji edukacyjnej. Prezentuje bowiem dzieła literackie, dawne i współczesne, z pomocą *crème de la crème* polskiego aktorstwa. Janusz Kukuła całe swoje zawodowe życie, w każdym jego aspekcie, poświęcił temu zadaniu.

*Prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzeniewska
Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie*



Słowo na powitanie

Fenomen istnienia jest dla mnie kwestią najbardziej dojmującą. Bardzo rzadko o tym myślimy albo myślimy cały czas, co zresztą wychodzi na jedno... Istnienie jest problemem, który uderza każdego człowieka bez wyjątku... Nie było nas i nagle zjawiamy się osadzeni jako materia i duch w przestrzeni, w niepojętym wyznaczniku wszystkich wymiarów, jakim jest czas. Stajemy między ogromem tego, co było przed nami, a wiecznością bez kresu, która nadejdzie po nas. W jednej chwili, której nie jesteśmy w stanie ani zrozumieć, ani wytłumaczyć, musimy zacząć „być”. „Być” w zwykłym ludzkim wymiarze, takim, jaki jest przeznaczony dla każdego z nas. Zaczyna odtąd biec nasz czas oddany nam na wyłączność i zarazem w dzierżawę. Rozszerza się jak wszechświat, tworząc coraz większe i bardziej skomplikowane konstrukcje. Myśl o tym, co niepojęte, towarzyszy mi nieustannie, bo wiem, że za chwilę mnie nie będzie.

Kiedys zastanawiałem się, co lubię bardziej: wspomnienia czy marzenia? Na pierwsze nie mam wpływu, a drugie odsłaniają to, co powinno pozostać ukryte. Każdego dnia wyruszamy w nieznaną, i każdego dnia wracamy do siebie. Lubię te powroty. Lubię wracać.

Oto moje wspomnienia, które zaczęły się od marzeń. I marzenia, które kończą się wspomnieniami. Ta książka to moje podziękowanie za dni i noce, które mam jeszcze przed sobą. Jakże inaczej mógłbym wyrazić to, co czuję i myślę o wielkim darze, jakim jest nasz wspólny los? Próbuję opowiedzieć o życiu tyle, ile światła widzę w oczach Innych. A są to oczy moich życiowych przewodników, które widzą mnie lepiej niż lustro. Wszystkiego nauczyłem się od ludzi, niektórych z nich mam szczęście nazywać Przyjaciółmi. Ta książka to moje podziękowanie za czas, który poświęcili na spotkania ze mną. To podziękowanie za lekcje, bez których nie zdałbym żadnego egzaminu. Łączy nas wrażliwość na światło i muzykę. Czułość dla słów i dla milczenia. Łączy nas poczucie humoru, choć czasami jest to śmiech przez łzy. Łączy nas smutek, że tak niezwykle szybko przestaje być ważne to, co było najważniejsze. Łączy nas szacunek dla sztuki i uwielbienie dla tych, którzy potrafią ją docenić. Łączy nas pokora wobec mądrości oraz wobec tych, którzy starają się ją ukryć.

W życiu swoim kierowałem się dyrektywą, którą przekazał mi przed laty mój Ojciec: skromność w zwycięstwie, w cierpieniu spokój, w porażce godność. Te trzy opozycyjne kategorie, przeciwstawne względem siebie, leżące wręcz na przeciwległych biegunach, są dla mnie stałym źródłem wsparcia.

Cokolwiek się pojawia w moim życiu, to i tak wszystkie drogi prowadzą mnie nie do Rzymu, ale do Teatru Polskiego Radia. Każdy dzień wypełniony jest wydarzeniami wiążącymi się z tym miejscem. To jest mój teatr wyobraźni. Teatr głosów i słów.

„Tyle jest rzeczy między niebem a ziemią, o których tylko poetom coś niecoś śnić się raczyło” – napisał Fryderyk Nietzsche.

Chciałbym wejść do pokoju Cypriana Kamila Norwida w Domu Świętego Kazimierza w Paryżu, w maju 1883 roku, i otrzeć mu rozognione czoło. Chciałbym we wrześniu 1855 roku zgasić kominek Biblioteki Arsenau

tak, by Adam Mickiewicz nie mógł spalić w nim swoich rękopisów. Gdyby ktoś zapytał mnie, co chciałbym robić, gdybym mógł wybrać czas i miejsce swojego życia, bez wahania odpowiedziałbym: chciałbym nosić teczkę za Adamem Mickiewiczem. Chciałbym latem 1906 roku pojechać do Węgrzec pod Kraków i zawieźć penicylinę Stanisławowi Wyspiańskiemu. Czwartego sierpnia 1944 roku w Warszawie wbiec o godzinie szesnastej po marmurowych schodach pałacu Blanka na pierwsze piętro i odepchnąć od okna Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Trzydzieści dwa lata później, w lipcu 1976 roku, znaleźć się na skrzyżowaniu w Konstancinie i zatrzymać auto wiozące do pałacu w Oborach Antoniego Słonimskiego...

Nic nie jest zbyt piękne, by nie mogło być prawdziwe. Żałuję, że nie potrafię żeglować, jeździć konno, wspinać się po górach. Żałuję, że nie byłem na równiku, na biegunach i przed Ścianą Płaczu w Jerozolimie, chociaż znam to miasto na pamięć. Najmądrzejsza starość jest gorsza od najgłępszej młodości. Gdybym spotkał siebie sprzed lat, nie powiedziałbym sobie ani słowa, bo i tak ten ktoś by mnie nie posłuchał. Albowiem ten ja to ktoś inny. Pogłaskałbym go po głowie z czułością, gdyż ja już wiem, przez co będzie musiał przejść. Czasami śnię o pewnej lipcowej niedzieli, kiedy jadę na rowerze i niczego się nie boję. Śnię też o tym, że dzwonię do Mamy



■ W dniu, gdy zostałem dyrektorem Teatru Polskiego Radia, rok 1992

i ona odbiera telefon, mówiąc, co będzie dzisiaj na obiad. Śnię o tym, że moje wszystkie psy z całego mego życia ciągle śpią obok mnie, a ja głaszczę je i czytam w spokoju *Pana Tadeusza*. W jednej kieszeni mam uśmiechy, a w drugiej smutki. W jednej wspomnienia, a w drugiej marzenia. Sięgam do tych pierwszych, rozwijam papierki i smakuję je jak cukierki.

Nigdy nie byłem pewny, czy miejsce, którego tak usilnie szukałem, naprawdę istnieje? Teraz już wiem.

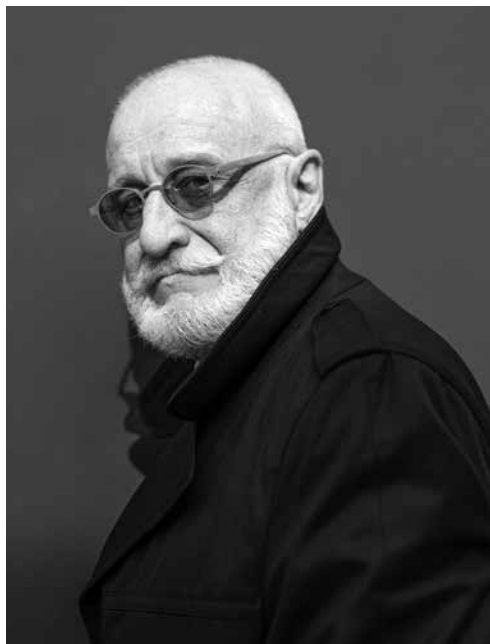
Żyjemy tylko raz – ale wcale nie dam za to głowy. Jeśli tak, to co z tęsknotą, miłością, nadzieją i wiarą? Ważne jest nie to, czego dotykałeś, lecz to, co czułeś, dotykając. Ważne jest nie to, co widziałeś, lecz to, co czułeś, patrząc. Ważne jest nie to, jak długo nie pamiętałeś, lecz to, jak szybko sobie przypomnisz. Całe życie uczyłem się dotykania, patrzenia i pamiętania. Nie mówię głośno wszystkiego, o czym myślę, ale chcę przemyśleć wszystko, co powiem. Przecież nikt nie będzie pamiętał moich skrywanych myśli. Genialna jest sentencja świętego Augustyna: „Nie rozpaczaj, jeden z łotrów został zbawiony. Nie pozwalaj sobie – jeden z łotrów został potępiony”.

Istnieje trzech ludzi, których uważam za mych największych przyjaciół: Lord Jim, księżę Myszkina i Krzysztof Gosztyła. Lord Jim nauczył mnie, żeby nigdy nie uciekać. Myszkina nauczył mnie, by nigdy nie płakać, a Krzysztof Gosztyła, by wszystko robić z wiarą, że to, co robię, ma sens.

Słowa widać. Zmieniają się w kształty, barwy, zapachy i smaki. To zjawisko nazywa się synestezją. Widać je w oczach, na rękach czy na drodze, którą idziemy. To właśnie jest wyobraźnia.

Nie oczekujcie ode mnie słów pocieszenia, bo sam ich dzisiaj potrzebuję. Cała nasza wiedza o życiu, tak szumnie nazywana „życiową mądrością”, to produkt jednorazowego użytku. Uważamy się za inteligentnych, wrażliwych, mądrych i dobrych. Zbyt często, niestety, za lepszych od innych. Czasami nawet nie zauważamy, że ktoś obok nas bardzo cierpi...

Charles Baudelaire modlił się słowami: „A Ty, Panie Boże, spraw łaską swoją, abym napisał jeszcze kilka dobrych wierszy, które pozwolą mi wierzyć, że nie jestem ostatnim z ludzi, a przynajmniej, że nie jestem jed-



■ Krzysztof Gosztyła

nym z tych, którymi tak głęboko pogardzam”. Miałem chyba czternaście lat, kiedy przeczytałem te słowa. Powtarzałem je od tego czasu wiele razy, chociaż nigdy nikim nie gardziłem. To moja wielka życiowa zdobycz. Jeśli do twoich drzwi zapuka „przeszłość” – nie otwieraj. Nie przynosi niczego dobrego. Jeśli zadzwoni do ciebie „przyszłość” – nie odbieraj telefonu. Nie ma ci nic do powiedzenia albo skłamię i nagada głupstw. Czasami lepiej nie mówić prawdy. I to nikomu. Co wcale nie znaczy, że trzeba kłamać. Nie mówić prawdy, to nie znaczy kłamać. Po prostu nikt nie potrzebuje mojej prawdy. Ludzie wolą nieprawdę, chociaż nie chcą też kłamstw. Wierzę, że ludzie są dobrzy, dopóki nie udowodnią, że jest inaczej. Karol Darwin był przekonany, że ignorancja częściej rodzi pewność siebie niż wiedza. Często to widziałem i zaciskałem powieki ze wstydu. Moim najintymniejszym wyznaniem są wiersze; napisałem ich wiele i trochę mi smutno, że nikt ich nie zna...

*Poezja to wiatr
wiatr to marzenia
marzenia to mgła
mgła to podróż
podróż to samotność
samotność to ptak
ptak to tajemnica
tajemnica to sen
sen to tęsknota
tęsknota to strach
strach to świat
świat to pytanie
pytanie to droga
droga to początek
początek to pamięć
pamięć to wyznanie
wyznanie to cisza
cisza to oddech
oddech to poezja
Oddychaj.*

Kropelki deszczu

Pierwsze moje wspomnienie, pierwsze projekcje pamięci, chwile, przedmioty i miejsca, to kropelki deszczu spływające po szybie okna w naszym dawnym domu. W księdze wspomnień, którą często otwieram, siedząc w samotności, widnieją one na pierwszej stronie. Wykaligrafowane najstaranniej, jak żaden inny, późniejszy rozdział.

Kropelki osuwały się wraz z setkami innych kropek po okiennej szybie i zasłaniały cały świat. Dzień ten był zamglony, pełen tajemnic i cieni, szarzielony, czarno-złocisty, wilgotny i lśniący. To najsilniejsze reminiscencje z lat, podczas których każdy człowiek zapamiętuje pierwsze obrazy. Bezczenna, cieniutka, niemal przezroczysta bibułka, na której utrwalił się ten ledwie widoczny już obraz. Scena, jaką zdołałem zapamiętać i w chronologii zdarzeń uznałem za najwcześniejszą. Mój śmieszny skarb i naiwna relikwia. Mama sadzała mnie przy owym ogromnym oknie, aby mnie czymś zainteresować i mieć chwilę wytchnienia. Fascynowały mnie wesołe, lśniące kropelki, spływające zakręcającymi i falującymi drózkami po szybie. U góry małe i cienkie, a na samym dole – krągłe i brzuchate. Wyznaczały swym biegiem zawile ścieżki, których przebieg starałem się odgadnąć. Czy popłynę w prawo, czy może w lewo, a może złączy się z inną lub rozdzieli na dwie? Wyobraźnia kazała mi uznawać je za żywe istoty, które pędziły w niepojętych dla mnie, ale ciekawszych od wszystkiego innego wyścigach. Pędziły, jedna przez drugą, krzyżując swe przebiegi, wymijając się i zajeżdżając sobie drogę, aby jak najszybciej dopłynąć do mety, którą stanowiła pomalowana białą farbą framuga okna. Cel, który chciały osiągnąć, był niżej, już poza oknem, i dlatego nie wiedziałem, co je tam czeka. Lecz byłem pewny, że dotarłszy tam, do tej krainy, która była dla mnie tajemnicą, będą bardzo szczęśliwe. Deszcz był ciekawą i nigdy nienużącą mnie treścią wielu godzin, poświęconych na te obserwacje. Przerywał je dopiero zapadający wcześniej zmierzch lub głos Mamy, wołający na obiad. Deszcz kocham do dziś. A co było za oknem? Zamglony wizerunek świata, nierówne domy, rozplywające się w strugach wody i zdeformowane w pofalowaniach szyby, dal bez wyraźnych konturów, coś dalekiego, niedostępnego, nie do osiągnięcia dziecięcym wzrokiem. Tajemnica innego świata, który jednak nie był ani groźny, ani straszny. Był spokojny i istniał wyłącznie dla mnie, ale i beze mnie. Mój świat prawdziwy był z tej strony okna, bo tu byłem ja i tu była Mama. Ciągle tam jestem, wciąż siedzę przed tym oknem, patrzę na kropelki deszczu, które znowu spadają, i czekam. Być może nic ciekawszego w życiu mnie już potem nie spotkało. Człowiek składa się z wody i ze słów. Ja z pewnością tylko z wody. Po bardzo wielu latach znalazłem się w tamtym domu z czasów mego dzieciństwa. Okno nie było już takie duże, sufit zawisł nad głową nie

aż tak wysoko, a perspektywa za oknem okazała się krótka, sięgająca może stu, może dwustu kroków dorosłego człowieka... Nie zmniejszyło to jednak mojego wzruszenia!... Usiadłem na chwilę, w ciszy, w zadumie, i przypomniałem sobie wyraźnie te wszystkie spędzone tu godziny, a było ich tak wiele, wręcz setki... Musiałem – uznałem sam przed sobą (co zresztą potwierdza się we wspomnieniach innych osób z mojej rodziny) – być dzieckiem bardzo spokojnym i cierpliwym. Niewykluczono, iż byłem dotknięty jakąś formą autyzmu. W tamtych czasach nikt o tym jeszcze nie słyszał i takim zjawiskiem psychologii dziecięcej wcale się nie przejmował.



■ Dzieciństwo – pierwsze zdjęcie

Minęły lata, całe dziesięciolecia, a to deszczowe wspomnienie pozostało jako pierwszy obraz ujrzany po otwarciu oczu, tuż po przebudzeniu się do życia. Potem te kalki pamięci złączyły się na zasadzie jakiegoś trudnego do zidentyfikowania skojarzenia z wierszem Norwida:

*Bywałem ja – od Boga nagrodzonym,
Rzeczq – mniej wielką:
Spadłym listkiem, do szyby przyklejonym,
Deszczu kropelką...*

(Daj mi wstążkę błękitną...)

Mocne słońce

Kolejny obrazek ma w tle nie deszcz, a słońce. Jestem wciąż tym samym chłopcem z za deszczowego okna, ale znajduję się gdzie indziej. Jest lato. Leżę na ziemi, w złotym zbożu, wymalowanym na tle przejrzystego błękitu nieba. Dookoła mnie rosną wysokie, falujące, rozkołysane letnim wiatrem, znacznie mnie przerastające zagony dorodnego żyta. Dzieje się to

na wsi, dokąd Rodzice zawieźli mnie na wakacje. Wyszedłem w pole – zapewne z tęsknoty – by szukać Mamy. Zmęczony długą wędrówką, położyłem się w zbożu, by chwilę odpocząć. Czułem słodkie wonie kwiatów, łąki, ziemi, traw i ziół, jakie tylko mogą się roztaczać w upalny dzień. Zapewne było to w początkach sierpnia, kiedy słońce najpiękniej wyłata cały świat swym świetlistym blaskiem. Zamykam oczy, bo słońce bardzo mnie razi, zapominam o wszystkim, leżę na wznak, nie poruszam się, jakby mnie wcale nie było... Mija czas, mija dużo czasu, jest mi dobrze i błogo... Słyszę śpiew lejących wysoko ptaków, zapadam się w słodki niebyt, w magnetycznie pociągający sen... Potem dowiedziałem się, że szukała mnie w trakcie tych moich błogich chwil cała nieomal wieś, wszyscy jej mieszkańcy, a mijały długie godziny. Szukano mnie rozpaczliwie grabiami i bosakami we wszystkich okolicznych stawach, rzeczkach i potokach, przeczesując je ze strasznym pytaniem w oczach... Ta dramatyczna eskapada skończyła się poważnym porażeniem słonecznym. W końcu odnaleziono zgubę! Zapanowała powszechna radość, a ja wodziłem oczami po zebranych tłumie, wypatrując mojej Mamy. I to szukanie ciągle we mnie trwa. Wciąż jej szukam, chociaż umarła wiele lat temu. Wierzę, że kiedyś uda mi się ją jednak wypatrzeć.

Czerwony rowerek

Później, gdy byłem nieco starszy, przeżyłem pierwszy moment uniesienia, a to za przyczyną... roweru. Pamiętam szum wiatru w uszach, ale szum ogromny, istny świst, jak impet błyskawicy gnającej po niebie. Pędzę oto na rowerku! Na prawdziwym, pięknym, czerwono lakierowanym rowerku! Szybko, coraz szybciej obracam pedałami, jak w transie, jakbym był złączony z rowerem w jedno. Rower był od tego czasu moją pasją przez długie, długie lata. Ten pierwszy, dziecięcy, był imponujący. Pamiętam jeszcze okrzyki, wiwaty i skandowania – to były wyścigi kolarskie, przeznaczone dla bardzo młodych sportowców! Do wyścigów wystawił mnie mój Tata. I oto stało się tak wspaniale, że je wygrałem. Chodziłem bardzo dumny, ale było to pierwsze i, jak się okazało, ostatnie zwycięstwo sportowe w moim życiu...



■ Czerwony rowerek – pierwszy wyścig

Wysoki kamień

Inny obraz pochodzi z tego samego czasu – oto na łące leżał ogromny kamień; wejście na ten głaz było jednym z moich dziecięcych marzeń, a w każdym razie wielkim wyzwaniem, gdyż głaz był czymś, co wszystkim imponowało swą niedostępnością. Wydawał się porażająco wielki, nie do zdobycia. Dotyczyło to wszystkich niemal moich rówieśników, mieli te same odczucia i tak jak ja próbowali wdrapać się na ów kamień. Komuś się ta sztuka udawała, a komuś nie... Czy ja zdołałem w końcu osiągnąć cel? – nie jest to już dla mnie dziś ważne. Minęły lata, kamień leży niewzruszony w swoim dawnym miejscu i wita mnie, jak przyjaciel z dawnych lat, kiedy tylko jestem w tamtych stronach. Zmalał, skurczył się do rozmiarów niewielkiego kamienia, a przecież kiedyś wydawał się tak ogromny...

Takich kamieni widziałem w życiu bardzo wiele. Nie wszystkie zmalały, niektóre pozostały po dawnemu wielkie. Czasami w snach próbuję na nie wejść.

Dłoń Mamy

Najwspanialsze moje wspomnienie, to ręka mojej Matki, która podawała mi swą dłoń do trzymania wieczorem, gdy nadchodził czas snu i leżałem już w łóżeczku. Nie potrafiłem i nie mogłem zasnąć bez trzymania dłoni mojej Mamy. Domyślam się tylko, jaka to musiała być dla Niej udręka, by przed każdą nocą trzymać długo i niemal nieruchomo wyciągniętą rękę i czekać, aż zasnę. Potem, po latach, mówiła mi, że ręka sztywniała jej aż do bólu, ale czekała, bym zasnął, nic nie mówiąc... Ta dłoń Mamy była dla mnie czymś najpiękniejszym na świecie, czekałem na ten moment przez cały dzień! I nadal taką jest, mimo że Mamy nie ma już od wielu lat. Ale jej rękę, dającą zawsze spokój i ciepło, czuję zawsze w swoich dłoniach w porze snu.

Mama

Moja Mama była bardzo piękna. Całe życie się bała. Przez wiele lat nie mogłem tego zrozumieć. Dziecko nie może rozumieć takich spraw. Nie mogę napisać prawdy, bo jest zbyt okrutna i bolesna. Tę prawdę poznałem, kiedy miałem dwanaście lat. Przypadkowo usłyszałem rozmowę, która mną wstrząsnęła. Od tej pory żyłem tylko po to, by chronić Mamę. To nie mogło mi się udać, ale bardzo się starałem. Nigdy nie jadła i nie piła niczego poza domem. Często milczała i zamykała oczy. Dla świata miała delikatny

uśmiech, który mówił „przepraszam”. Byłem całym Jej światem i do dziś, po tylu latach od Jej śmierci, czuję wyrzuty sumienia, że nie spełniłem Jej oczekiwań. Miałem wtedy chyba cztery lata. Ubrała mnie w nowiutki strój, który przypominał ubiór marynarza, którym wtedy chciałem być. Mieliśmy iść na spacer. Wszedłem chwilę przed Nią z domu i wpadłem do rowu pełnego błota. Do dziś słyszę Jej płacz, gdy mnie zobaczyła. Nie płacz, Mamo. To nic. Widzę Ją, gdy stoi na brzegu morza. W moich snach nadal tam stoi i powoli odwraca głowę w stronę Ziemi, która na Nią nie zasłużyła.

Matka

Matko z wioski rozrzuconej na wzgórzach
Matko z zajazdów przydrożnych
Matko wędrowca zapomnianego w podróżach
Matko kroków odważnych i gestów ostrożnych
posłuchaj
Ten wiatr
to Ty
zwiewa z moich rąk
kurz bitewny
Ten deszcz
to Ty
zbiera się tuż obok ust

Ta woda
to Ty
Mamo

Matko ciszy płynącej po twarzy
Matko prawdy kłamstwa i zmęczenia
Matko od tego co się już nie zdarzy
Matko nadziei ciepła i zwątpienia
posłuchaj

Ten dzień
to Ty
Słyszysz słowa szybciej niż je wypowiem

Te drzwi
to Ty
nigdy ich nie otworzę i tak jestem w środku

*Ten chleb
to Ty
Mamo*

*Matko od słów zamazanych na piasku
Matko od Marka i od Mateusza
Matko pełna bólu wypełniona łaską
Matko niemego gniewu i bezradnego Janusza
posłuchaj*

*Ten świt
to Ty
chłodniejszy od wiatru daleko od brzegu*

*Ten cień
to Ty
mknący jak łódź z północnym wiatrem*

*To światło
to Ty
Mamo*

Rodzinna kronika

Moja babka, Wiktoria, była z domu Kamieńska. Jej ojciec, czyli mój pradziad, posiadał majątek ziemski pod Kutnem. W tymże majątku pracowało wielu chłopów. Najczęściej tych bez ziemi, czyli fornali. Ale pośród nich znalazł się jeden inny niż wszyscy. Był to Michał Kukuła. Babka, będąc jeszcze bardzo młodzieńką dziewczyną, za nic miała mezalianse (i „różnice klasowe”, jakby to powiedziano w latach pięćdziesiątych), przeto nie bacząc na nic, zakochała się w nim... Cóż to była za odwaga, tak się w tamtych czasach (a i wzięwszy pod uwagę ówczesne społeczne realia) zakochać. I to bez pamięci! Michał Kukuła zmarł młodo, nie doczekawszy uwiecznienia na fotografii. Dlatego nie wiem, jak wyglądał ten śmiałek, co to nie bał się odwzajemnić miłości jaśnie panienki... Mój pradziad oczywiście nie zgodził się na związek dwojga zakochanych, a babcię wydziedziczył, by ją ukarać za to, że postąpiła tak niegodnie i nieroztropnie. O porywach serca wtedy nie myślano, a kierowano się niemal wyłącznie rozsądkiem i trzymano ściśle konwenansów.

Mimo wiedzy o tym, co ją czeka, gdy zostanie całkiem bez ziemi dającej utrzymanie, babcia Wiktoria poszła jednak za głosem serca. Wszystko dzia-

ło się tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej, w owej Bożej Woli, ten splątany dramat uczuć, pokoleń, majątności i klas... I oto ponad wszystkim wyłoniła się pierwsza metafora – taka była widocznie boska wola! Nazwa miejsca tego wydarzenia, jakże wymowna w kontekście trudnych dla wszystkich bohaterów tej opowieści zawirowań, chyba właśnie dlatego tak głęboko zapadła mi w pamięć. Noszę ją zawsze w sercu.

Ważna była też droga do Bożej Woli. Taka, jak dawniej, jak na słynnym obrazie Chełmońskiego. Droga polna, wiejska, zwyczajna, z wybojami; nie był to gościniec, ale zwykły szlak jakich wiele, kamienisty i rozjeżdżony. Każdy zaprzęg konny, przemierzający tę drogę, kołysał się na boki, czasem niebezpiecznie, i wzbijał tumany kurzu. Polna droga... Ale dla kogoś innego niech to będzie ulica w jego mieście, osiedlowa ścieżka czy aleja pośród willi. Bo tu pojawia się druga metafora – jest to droga do naszej wspólnej krainy szczęścia. Często widzę tę moją zapamiętaną i często nią wracam tam, gdzie byłem szczęśliwy. Takiej drugiej drogi w życiu dorosłym już nie ma – drogi w piękną przeszłość samego siebie, w świat miniony, który zabrał i zniszczył czas. Każdemu życzę, aby miał w pamięci taką drogę i aby mógł w każdej sekundzie udać się po niej w miejsce, gdzie odnajdzie krainę dobra. Nieskalaną świadomością późniejszych lat, które odzierają nas ze wszystkich złudzeń. Droga do Bożej Woli została do dziś prawie niezmienną, ciągnie się jak dawniej, zwykła i banalna, a jednak serce zaczyna mi mocniej bić, gdy czasem tam się znajduję. Domów, tych z moich czasów, już nie ma, zniknęło wszystko, co pamiętam. A było ich tak wiele, jeszcze z dziewiętnastego stulecia. Zostały tylko nazwa i ten szlak, i niebo to samo nad głową, a czasem tylko stojące w oddali stare drzewa. Niepotrzebne, sękaty, z poskręcany mi mocno konarami... Dziś płynie tam inne życie, życie ludzi nowych, zamożnych. Wznoszą się nowoczesne domy i zabudowania, nie znajdziesz dawnych mieszkańców, nie usłyszysz dawnych opowieści, historii starych, a wszystkim znanych... Przeminięły dawne obrzędy i zwyczaje, zatarły się materialne ślady przeszłości, która jednak na zawsze jest częścią mnie. I tak już zostanie, nawet wówczas, kiedy i te ostatnie stare drzewa pójdą pod topór.

W przypiływie wyrzutów sumienia pradziadek podarował nowożeńcom trzy morgi ziemi, by mogli gospodarować na swoim i jakoś przetrwać. Skromnie, bo skromnie, ale jednak. Michał Kukuła nigdy przedtem ziemi własnej nie posiadał. Ale postawił na tej darowiźnie własnymi rękami dom, niestety już dziś nieistniejący. Zburzono go i wzniesiono w jego miejscu dom nowy. Dziadkowie doczekali się pięciorga dzieci. Najstarszym z nich był mój Ojciec, Franciszek. Wspomnienia stamtąd mam śliczne, bo zawsze notowane w czasie wakacji, czasie lata, słońca, zieleni, ptaków i bez troski. Babcia regulowała pory różnych swych obowiązków w domu inaczej niż my w mie-

ście. Wszystko było spokojne, pewne, utarte, niezmałcone w niezakłóconej niczym kolejności zdarzeń, staroświeckie i pełne uroku. Czas mierzono nie zegarem, lecz odgłosem przejeżdżających pociągów. Za torami stał wiatrak, i on też dawał sygnały stosowne do pory dnia, ale to już było w świecie mnie niedostępnym. Młyn był wiatrowy, jego skrzydła kręciły się cicho i majestatycznie, a ja znałem tylko nazwisko młynarza, który stawał się z owym młynem jakby jednym ciałem, jedną osobą. Jeszcze dalej mieszkali nasi kuzynostwo Radwańscy, którzy żyli we dworze, wielkim i pięknym, jak z czasów Mickiewicza. Przynajmniej tak ów dwór zapamiętałem. Dzisiaj też go już nie ma, nad czym boleję, jak nad stratą kogoś bliskiego. Miałem często poranione nogi, kiedy, podrosłszy nieco, sam od czasu do czasu wybierałem się do nich. Ale nie zwykłą drogą, której jakoś nie mogłem nigdy znaleźć, lecz na skrót, przez krzewy dzikich róż, które rosły dookoła dworu. Ich kolce raniły moje nogi i ręce do krwi. Mieszkał tam stary pan Andrzej Radwański, który mnie uwielbiał, nosił na barana i bardzo się mną opiekował.

Kiedy babcia Wiktoria zmarła, pojechałem z Ojcem do Bożej Woli, by pożegnać się z nią na zawsze. Odbywało się czuwanie przy trumnie, jak to dawniej było w zwyczaju, całą noc i dzień, aż do wyprowadzenia i pogrzebu. Spraw życia i śmierci jeszcze wtedy, rzecz jasna, nie znałem ani nawet nie przeczuwałem, i tak dramatycznych wydarzeń nie widziałem nigdy wcześniej... Po raz pierwszy ujrzałem mojego Ojca płaczącego, co dla dziecka jest zawsze głębokim wstrząsem. Ojciec nie mógł wejść do domu, zbrakło mu sił... Poszedł tylko do sadu obok domu, gdzie rosły stare jabłonie, pochylił się, zgarbił, zakrył twarz dłońmi i długo szlochał. W takich oto okolicznościach nastąpiło moje pożegnanie z tym domem, z domem ukochanej babci... Każdy domyśla się, bo sam przeżył podobne, jaki to był ból, jaka strata i jaki głęboki smutek. Potem nie jeździłem już tam nigdy, a jeszcze później dowiedziałem się, że dom zniknął z powierzchni ziemi, co też mnie zadziwiło. Zrozumiałem, że umierają nie tylko ludzie, ale umierają też i domy. Tak odeszła moja babcia, skończyła się ta historia i skończyło się moje dzieciństwo, cała epoka... Boża Wola była w czasach dzieciństwa całym moim światem, kompletnym i skończonym. I jednocześnie nieogarnionym. Nie sądziłem, że może rozciągać się coś dalej. Lecz potem okazało się, jak to doskonale wiemy, odwiedzając po latach nasze mikrokosmosy, że był to świat maleńki. Tylko ów dom, pola ziemniaczane wokół, łąn żyta i ten kamień, o którym wspominałem. Ot, i cała topografia, takie niby nic, ale dla mnie stanowiło po prostu całą rzeczywistość. Kamień leżał od domu o sto kroków, a mnie wydawał się bardzo daleki. A jeszcze o dalsze ledwie sto kroków biegły już owe tory linii kolejowej i widać było wiatrak. A mnie – dziecku – zdawało się, że egzystował daleko, jakby na innej planecie... Boża Wola stała się zamkniętym rozdziałem, za którym bardzo tęsknię.



Kolejne miejsce mego dzieciństwa to wieś Stare Bielice. Leży na Pomorzu, bardzo daleko od Kutna, od Bożej Woli, w zupełnie innych stronach, kilkadziesiąt minut jazdy samochodem od Koszalina. Zostałem oderwany od dawnych miejsc, co wiąże się oczywiście z kolejami losu mojej rodziny, a w szczególności z losami mojej Mamy, Zofii. Jej ojciec, a mój dziadek, Władysław Mołdawa, w roku 1939 brał udział w wojnie obronnej. Trafił do niewoli sowieckiej, potem wstąpił do 2 Korpusu Armii Polskiej na Wschodzie, dowodzonego przez generała Władysława Andersa. Walczył pod Monte Cassino i miał rzekomo tam zginąć, co jednak okazało się później nieprawdą. Doczekawszy końca wojny na Zachodzie, wyemigrował w roku 1946 za ocean. Kiedy otrzymał kartę mobilizacyjną we wrześniu roku 1939 i wyruszył na front, to pozostawił w domu żonę, będącą w ciąży, oraz pięcioro dzieci. Nagle, wiele lat po wojnie, odezwał się do rodziny w Polsce z... Ottawy w Kanadzie. Rzeczywiście walczył pod Monte Cassino. Przeżył, natomiast w ewidencji poległych nastąpiła pomyłka, świadkowie również się mylili i wspominali w swych relacjach kogoś innego. I taka zniekształcona wiedza trafiła do rodziny. Tymczasem w Kanadzie dziadek ożenił się po raz drugi i spędził tam pięcioro dzieci. Cudowne jednak w tej bigamistycznej opowieści jest jedno – nadawał nowym dzieciom te same po kolei imiona, jakie nosili jego potomkowie pozostawieni w Polsce. Nie sądził i nie wierzył, że jeszcze kiedyś zobaczy swój kraj, nawet ten zniewolony. Żelazna kurtyna, którą zapuścił Stalin, była jego zdaniem nie do przebiccia przez pięćdziesiąt lat. Utracił całkowicie kontakt z Polską, gdzie zresztą wszyscy członkowie rodziny rozpiezchli się w wojennej i powojennej zawierusze, zmienili miejsce zamieszkania... Dziadek został przypadkowo rozpoznany w Kanadzie przez księdza z Polski. Nie znam wszystkich szczegółów tej historii, ale nietrudno się domyślić, że musiało się z pewnością sporo wydarzyć. Przyspieszmy w tym momencie bieg historii. Oto dziadek ma wrócić do Polski już za kilka dni! Wszyscy ulegają podnieceniu i zarazem nieukrywanemu zdziwieniu. W glorii bohatera wojennego, cudem ocalonego, ożywionego i przywróconego na łono rodziny, zmartwychwstały dziadek Władysław powraca. Ale też ujawniają się fakty, coraz liczniejsze, że jednak prowadził podwójne życie. A wiódł je bez mała lat piętnaście. Dla mnie ten powrót był cudownym przeżyciem, nie odczuwałem żadnego żalu ani zazdrości. Tylko samą radość, bo oto zyskiwałem dziadka. Cóż to za frajda! Dziadek przywiózł rodzinie piękne prezenty, a mnie, swemu jedynemu wówczas wnukowi – pióro Parkera, zielone z pozłotą, marzenie każdego młodego człowieka w tamtych czasach. Używałem tego pióra przez wiele, wiele lat. Dziadek otrzymał potem mieszkanie w Łodzi. Moja babcia pogo-

działa się z nim i przeniosła do tego miasta. Zamieszkali razem z dwójką najmłodszych swych dzieci, jednym urodzonym jeszcze przed wojną, a drugim na początku okupacji. Dziadek był z nami cały czas, aż do swej śmierci; nie starał się jednak zbytnio, aby jego dzieci kanadyjskie tu przybyły.

Moi koledzy

Miałem osiem lat, chodziłem już do szkoły. Do mojej klasy uczęszczał kolega Leszek Czechowski. Musiałem się za coś na nim zemścić, coś musiał mi uczynić złego, bo zwaбіłem go do lasu i przywiązałem do drzewa. Nie zdołał się uwolnić... Nie pamiętam już motywów tego czynu. Ale potem zaprzyjaźniliśmy się bardzo i ta przyjaźń trwa do dziś. Wybaczył mi moje zachowanie.

Mieszkaliśmy wtedy w Brzegu na Dolnym Śląsku. W klasie pani Elżbiety Janickiej, mojej cudownej, dobrej wychowawczyni, którą niewątpliwie bardzo kochałem, było dwóch Januszów. Ja i mój kolega Janusz Warpas. Jako dzieci chodziliśmy do szkoły mostem przez Odrę, która przepływa przez Brzeg. Przychodziliśmy też często bawić się nad tę rzekę. Odrą płynęły potężne bale drewniane – spławiano nią kłody okorowanych drzew. Wskakiwaliśmy na owe drewniane belki i płynęliśmy jak długo się dało i dokąd było można. Był to nasz sport, nasze niebezpieczne zawody, dostarczające niezwykłych emocji. Pewnego dnia doszło jednak do nieszczęścia. Janusz zsunął się z dużego drewnianego okrągłaka do rzeki i szybko utonął... Byłem przy tej tragedii i wszystko widziałem z bardzo bliska. O udzieleniu pomocy nie było nawet mowy. Wieść o wypadku rozeszła się błyskawicznie po całym mieście. Dotarła do mojej Mamy, która pomyślała oczywiście, że utonął jej Janusz. Przybiegła nad rzekę półprzytomna, załamana. Do tej pory widzę jej zapłakaną twarz. Kiedy okazało się, że ja żyję, to i tak nie mogła wypowiedzieć słowa. Rzadko kiedy zdarzają się takie pomyłki, zazwyczaj los jest okrutniejszy... Tym razem łzy rozpaczy przemieniły się w łzy szczęścia, pomieszane ze łzami współczucia. Stało się coś strasznego – zginęło dziecko... Był to potężny wstrząs, pierwszy tak mocny w moim życiu. Z Januszem siedziałem w jednej ławce, był kolegą o niepośledniej wrażliwości i któż wie, kto by z niego wyrósł... Długo potem rozmyślałem nad kruchością życia, które może skończyć się tak nagle. Umysł mój odrzucał fakt śmierci kolegi i dziesiątki razy wypatrywałem go przed ósmą idącego do szkoły...

Zielone oko

Mieliśmy w domu aparat radiowy, który grał, jak wówczas mówiono, praktycznie nieustannie, aż do chwili, kiedy szedłem spać i zapanowywała cisza... Tak jak w każdym domu, radio z racji swych sporych rozmiarów stało na komodzie. Było solidnych gabarytów, w drewnianej obudowie, zaciągniętej politurą. Miało „zielone oko” służące do strojenia, świecące podczas grania, otulone szczelnie rypsem, zasłaniającym głośnik. Ono mnie fascynowało niezmiernie, bo świeciło jeszcze dłuższą chwilę po wyłączeniu odbiornika, a nawet po wyciągnięciu sznura z kontaktu. Wydawało mi się to niepojętą magią. Manipulując przy nim coraz natarczywiej, chcąc poznać tajemnicę zielonego światła, wepchnąłem je kiedyś do środka radioodbiornika. Coś zatrzeszczało i pękło. Oko zapadło się w pudle, gasnąc przy tym jak wygaszona lampa naftowa – powoli, ale nieodwołalnie. Pamiętam gniew i rozżalenie Ojca, bo magicznego oka nie dało się już potem naprawić. Fakt, że popsułem radio, jest również jednym z najsilniejszych wspomnień. Bo wiążą się z nim lęk i wyrzuty sumienia. Ta chwila wraca też do mnie niekiedy w snach.

Szkoła w Brzegu

Szkoła w Brzegu, miasteczku piastowskim na Dolnym Śląsku, i dom tam, Rodzice tak młodzi i ja beztroski – to kolejne piękne wspomnienia... Co wbiło się w pamięć najsilniej? Śnieżne i mroźne zimy z całą ich białą poetyką. Z dachami i rynnami kamieniczek staromiejskich obwieszonych girlandami sopli i upudrowanych szklistym, krystalicznie białym śniegiem... Zimy te, tam na południu, jak mi się wtedy wydawało, trwały większą część roku. Pamiętam granatowe gwiazdziste wieczory i długie noce, czarne jak smoła, kiedy to czas stawał w miejscu, a wiatr gwizdał w kominie po diabelsku. Po plecach szły ciarki, ale też przechodziły przyjemne, miłe dreszcze zadowolenia. Siedząc bowiem w ciepłym pokoju i patrząc w okienka domów naprzeciwko, z szybami przyozdobionymi kunsztownymi kwiatami szronu, myślałem o tym, jak jest mi dobrze. Długie zimy z ciągłymi podmuchami mroźnego wiatru, rozsypującymi miliardy śnieżynek frunących z dachów i z przym we wszystkie strony, po całym, jak wtedy sobie wyobrażałem, ziemskim globie, trwały i trwały, nie mając końca... Śniegu było tak dużo, że usypane z niego wzdłuż ulic mego miasta kopce były wyższe niż dzieci idące do szkoły.

Z moich czasów szkolnych, spędzonych w Brzegu, przetrwało wiele przyjacieli. Miasto było niewielkie, nas mało, kontakty przez to intensywne.

niejsze i bardzo zapadające w pamięć. Ten nasz wspólny mikroświat był bardzo sympatyczny. Dobrych przyjaciół z tamtych lat mam dlatego bardzo wielu. Aż z siedmioma utrzymuję kontakty do dzisiaj, regularne i od lat niezmiennie. To przecież jest szczęście! Zrosiliśmy się też bardzo z naszymi nauczycielami. Ich wspomnienie to uśmiech na twarzy i łzy w oczach. Pani Elżbieta Janicka uczyła geografii – była tak dobra... Jej ręce przypominały niezmiernie dłonie mojej Mamy; nauczycielka najprawdziwsza, najrzetelniejsza i najuczciwsza, która uczyła sercem. Kochali ją chyba wszyscy uczniowie, ja może najmocniej. Czułem zawsze jej miłość do mnie i po trzydziestu latach musiałem jej o tym wszystkim opowiedzieć. Odnalazłem ją... Mieszkała na Starym Mieście, taka jak dawniej, niezmienniona. Wizytę odbierałem na kształt podróży w czasie, nieco odrealnionej, lecz z pełną świadomością, iż wszystko dzieje się naprawdę. Zapukałem do drzwi – ten sam głos, spojrzenie i dobro. Ileż musiało go być w niej, skoro tyle minionych lat nie wyczerpało tej skarbnicy? Przeżyłem spotkanie kogoś najbliższego na świecie. Kochałem niewątpliwie moich nauczycieli i jakoś nie pamiętam ani jednego niesympatycznego, traktującego uczniów źle czy wyniośle. A złych zapamiętujemy bardzo głęboko. Dlatego tak sielankowo minęły moje lata w szkole podstawowej. Szkoła się skończyła, otrzymałem świadectwo, ostatni dzwonek oznajmił wakacje, ale jednocześnie dobiegł kresu nasz pobyt w Brzegu. Nadszedł czas przeprowadzki do innego miasta, a tam – czekało liceum.

Liceum w Lublińcu

Wyjechaliśmy z Brzegu do Lublińca, położonego koło Częstochowy. Miasto to przed wojną leżało blisko granicy z Niemcami, a pierwszym miastem na zachód za tą granicą był Gutentag. Po wojnie został pięknie i mądrze spolszczony na Dobrodzień. Zawsze mnie to zarówno wzruszało, jak i zarazem nieco rozbawiało, ale nazwa polska jest rzeczywiście piękna. W Lublińcu, zaraz po roku 1920, zaczęto wznosić gmach szkoły powszechnej, a potem siedzibę liceum, potężną i nowoczesną, z własnym obserwatorium astronomicznym. Rozmach był kolosalny, bo taka właśnie zapanowała wizja Polski odrodzonej. Wiedzano, że trzeba zacząć odbudowę państwa od stworzenia polskiego szkolnictwa. I realizowano te cele w zaiste imponujący sposób. Moją nową szkołą stało się lublinieckie liceum imienia Adama Mickiewicza. Spotkałem tam cudownych ludzi, ale byłem już znacznie bardziej tego świadomy. W liceum uczyli profesorowie starej daty, wszyscy

■ Z Mamą i Tatą – byliśmy tacy szczęśliwi



niemal lwowiacy, przesiedleni na te ziemie po wojnie. Ci ludzie nadawali iscie przedwojenny ton stosunkom w szkole, stwarzali niepowtarzalną atmosferę, a to dzięki pielęgnowaniu zasad elegancji na co dzień, przestrzeganiu w każdej sytuacji dobrych manier, pilnowaniu umiaru we wszystkim. Byli wierni zasadom naturalnej hierarchii, która z kolei nam, uczniom, dawała poczucie normalności, celowości i trwałości świata, wzbudzając tym samym szacunek. W tej mądrze prowadzonej szkole było jak dawniej, jak w czasach Dwudziestolecia.

Zapamiętałem postaci nauczycieli. Profesora Mieczysława Węglowskiego, który uczył chemii, profesora Józefa Kacalskiego – fizyka, lotnika RAF-u podczas wojny, dżentelmena i autorytetu dla wszystkich. I pana Ludwika Markowiaka, dyrektora liceum, który w 2021 roku obchodził stulecie urodzin. Niestety parę miesięcy później zmarł. Wspaniały nauczyciel życia!

Pobyt w Lublińcu był dość krótki, gdyż trwał zaledwie pięć lat. I znowu nastąpiła przeprowadzka. Dla nastolatka, a tym bardziej dziecka, było to trudne emocjonalnie doświadczenie. Wszystko ulegało zmianie, to, co stare i kochane odchodziło, a przychodziło nowe i nieznanne. Mój los pod tym akuratem względem był nieprosty. Wchodziłem co jakiś czas w nowy świat, rządzący się swoimi zwyczajami i zasadami, czymś odrębnym, co jest wyłącznie miejscowe. Musiałem poznać inne niż moje wartości i poglądy, zaakceptować odmienne, lokalne tradycje, poznać nieznanne mi wcześniej odniesienia i konteksty. Najważniejszą osobą z tamtych lat „burzy i naporu” była i jest dla mnie Blanka. Blanka Bulik. Kiedy myślę o tamtych latach, a myślę często, zawsze widzę Blankę, wchodzącą do naszej klasy. Wszyscy milkną i czekają na jej uśmiech. Najbardziej ja. Zresztą to się nie zmieniło. Ciągłe na niego czekam. Byłem na obchodach stulecia mojej ukochanej szkoły i przeżyłem wiele wzruszeń. Najczęściej padało słowo „pamiętasz?”. Pamiętam, bo były to najpiękniejsze lata mojego życia. Bez Blanki byłbym innym człowiekiem.

Pierwsza przyjaźń

Pan Ludwik Markowiak martwił się, że jestem nieco zagubiony, dosłownie i w przenośni, w olbrzymim gmachu szkolnym, pośród wielkiego zbiorowiska młodzieży, jeszcze trudniejszego do poznania niż sama szkoła. Dyrektor Markowiak miał bratanka, Jacka, który mieszkał w Tarnowskich Górach i tam chodził do pierwszej klasy liceum. Byliśmy zatem rówieśnikami. Mimo pewnej odległości, bo do Tarnowskich Gór z Lublińca było czterdzieści kilometrów, pan dyrektor, niezrażony żadnymi przeciwnościami, postarał się, abyśmy się poznali.

Któregoś wrześniowego dnia Jacek przyjechał do Lublińca. Od czasu pierwszego spotkania aż do dziś jesteśmy serdecznymi i naprawdę wielkimi przyjaciółmi. To za mało powiedziane: żyjemy jak brat z bratem! Jacek skończył filozofię na uniwersytecie w Katowicach, został działaczem „Solidarności”, był kimś. Ówczesne władze zmusiły go z tego powodu do emigracji... Wyjechał z żoną Dorotą i dwójką dzieci do Niemiec. Wraz z rodziną otrzymał do wyboru region, gdzie mogliby się osiedlić. W tym celu wezwał ich do siebie urzędnik; było to w obozie przejściowym dla uchodźców w roku 1982. Wylosowali Frankonię, okolice Norymbergi, i znaleźli się w malowniczym Schwabach, mieście złotników, znanym od czasów średniowiecza. Jacek znalazł tam pracę i żyje do tej pory w owym pięknym mieście, ale często i chętnie przyjeżdża do Polski. Dzięki niemu i naszej przyjaźni poznałem całe Niemcy, wzdłuż i wszerz. Jacek zaprasza mnie bowiem od lat na fantastyczne krajoznawcze wycieczki, starannie wszystko przygotowuje, wyrysowując w najdrobniejszych szczegółach trasę naszej wspólnej marszruty. Jacek to osobowość, wiedza i wrażliwość, mój nieoceniony wielki i niezawodny przyjaciel.

Do klasy „w Mickiewiczu” uczęszczały dzieci kilku profesorów. Syn profesora fizyki, Juliusz Kacalski, był najlepszym uczniem w szkole, wygrał wszystkie olimpiady i poszedł później na studia medyczne. Syn chemika, Andrzej Węglowski, ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą i pracował potem w górnictwie. Andrzej Możdżeń przywoził zagraniczne płyty gramofonowe w intrygujących okładkach. Dzięki niemu usłyszałem zachodnie zespoły muzyczne, te popularne i nawet te rockowe, jak The Beatles czy Rolling Stones. Słyszałem wówczas po raz pierwszy ich piosenki i do tej pory zawsze mnie one poruszają. Z dzieci pedagogów wyróżniało się też kilka dziewczyn, młodych, inteligentnych i pięknych, które w przyszłości porobiły kariery. Wszystkiemu kierunek nadawała mądra kadra pedagogów i to, co nam wpoili nauczyciele, dało zasadniczy fundament naszego życia.

Dusza samotnicza

W czasach licealnych słuchałem radia dużo i często. Miałem własne wyobrażenia o świecie i ludziach. O wartości tego, co istotne w powodzi otaczających nas spraw, mnogości celów, dążeń, zainteresowań, priorytetów. Zacząłem wartościować wszystko i na każdym kroku stawiać sobie pytanie o znaczenie tego, co w życiu się czyni, co winno być jego treścią – w sensie kwestii nadrzędnych. Odkryłem szybko, że czas jest bezlitosny i nie należy go marnować. Bezwzględnie trzeba zaznaczyć swój ślad czymś istotnym, co choć na chwilę da poczucie spełnienia i osiągnięcia

wyznaczonego celu. Moim celem stała się praca dla kultury, tworzenie, a nie konsumowanie, dawanie z siebie, nie zaś branie. Chciałem znaleźć się po tej stronie barykady, gdzie coś powstaje, niech nawet w bólach, a nie po tej, gdzie się tylko korzysta. Poczucie wyobcowania i samotności zrodziło się we mnie dlatego bardzo wcześnie. Było mi trudno wchodzić w świat rówieśników, w związki. Unikałem sytuacji, które uważałem za trwonienie czasu. Wspominam siebie z tamtych lat jako typowego samotnika. W dodatku, a właściwie to przede wszystkim, inni wokół nie interesowali się tym, czym ja, zatem nie było mi lekko, mając na uwadze sprawy dla mnie najważniejsze. Poczucie wyobcowania ze względu na zainteresowania, ale też w sensie ogólnym, było stałym towarzyszem mego odczuwania i myślenia. Nie potrafiłem też odnaleźć się, czy choćby nawet tylko na trochę przystać do żadnej grupy, budować jakieś wspólne struktury z innymi. Marzyłem za to, by żyć w świecie ludzi kultury, ludzi, którzy nie walczą tak prozaicznie i dosłownie o przetrwanie, ale zajmują się czymś wyższym, ważniejszym, no i pięknym. Dlatego nie byłem specjalnie rozumiany i rozpieszczany przez otoczenie. Raczej traktowano mnie jako co najmniej młodego dziwaka, marzącego o zagadnieniach oderwanych od życia i bezsensownych.

Dla nabrania sił i odetchnięcia atmosferą poruszających mnie spraw jeździłem do Katowic do teatru. Teatr Śląski pozostał dlatego do dziś moim ukochanym teatrem, zarówno sam gmach, jak i aura miejsca, i te cenne wspomnienia, które składają się na mój stosunek do katowickiej sceny. Do dziś czuję się tam jak we własnym domu. I od lat ci ludzie sztuki, dawniejsi i nowi, ale zawsze ciekawi i zaangażowani, bardzo mnie interesują. Również repertuar, miejscowy, nieco specyficzny, odrębny, ludzie zza kulis, wryte w pamięć kreacje artystów tej sceny, których najpierw tylko podziwiałem z widowni, później zacząłem poznawać bliżej, a wreszcie współpracować z nimi.

Zacząłem pisać wiersze. I to pisać dużo. Oczywiście, że poezja była jedyną oazą, w której naprawdę oddychałem. Napisałem wiersz o tym, że potrzeba wspomnienia jest tak samo istotna, jak potrzeba zaspokojenia głodu i pragnienia.

Jacek Markowiak też dużo pisał, był jedyną moją pokrewną duszą. Ale kontakt w tamtych czasach na prowincji był trudny, do dyspozycji mieliśmy tylko pisanie listów, brakowało nawet telefonu. Wymienialiśmy się w korespondencji opisami tego, co robimy, o czym piszemy, rozmyślamy; byliśmy dla siebie nawzajem wspierającym się i uzupełniającym duetem młodych twórców. Młodzieńcze fascynacje poezją, pięknem słowa, dawnymi wierszami klasyków, dramatem, teatrem, literaturą, miały w sobie z pewnością wiele z afektacji. Lecz nie wspominam tych chwil z lekcewa-

żeniem. Są to, w jakimś najistotniejszym sensie, podwaliny tego, co robię do dziś, czym się zajmuję.

Wczesna młodość ma zasadnicze znaczenie dla każdego człowieka, zarówno od strony dobrej, jak i złej. To, co wtedy się wydarzy, rzutuje na całe nasze życie, a przynajmniej na znaczną jego część, i nie ma od tego odwrotu. Nawet jeśli życie potoczy się inaczej, niż byśmy chcieli wówczas, w tym magicznym czasie, kiedy skrzydła są jeszcze zwinione, to wewnątrz zachowujemy takiego siebie, jakim ukształtowała nas młodość.

W liceum napisałem scenariusz pierwszego mego spektaklu teatralnego i wyreżyserowałem go. Koledzy i koleżanki zagrali w nim wszystkie role, starając się ze wszystkich sił o sukces. Był to szampański przykład typowej kolei rzeczy, bo przecież tak przeważnie zaczynają się kariery większości ludzi teatru. Od wystawienia czegoś z pomocą kolegów szkolnych, którzy wszystko zniosą, wiedzeni ciekawością, niezachwianą wiarą w swe aktorsko-deklamatorskie umiejętności, nutką próżności i żądzą szkolnej popularności. Tudzież pragnieniem zaimponowania dziewczynie czy bliskim i rodzinie, wszakże w sposób bardziej ambitny... Zazwyczaj debiutuje się w szkole, aby jak najszybciej zobaczyć w praktyce, czy umie się coś zrobić, a przy tym nie ponieść żadnych konsekwencji. Objawić swe inklinacje do pracy nad tekstem literackim. I, rzecz jasna, do dyrygowania innymi, nie znosząc przy tym najmniejszego sprzeciwu. Było to jakieś bardzo znane dzieło dramaturgiczne, skomplikowane, nowoczesne i trudne. Nic wspólnie nie rozumieliśmy z niego, albo tylko nam się tak wydawało. Jednak powstało przedstawienie, które dało się oglądać. I oczywiście zobaczyli je wszyscy. Pamiętam wyraziście, że kulminacyjnym momentem naszej sztuki była scena z rozbijaniem głowy rzeźbie... Nie ukrywam, że ten element inscenizacji podobał się bardzo. Spektakl był montażem zbioru wierszy, bo wtedy poezja w szkole odgrywała ogromną rolę, miała bardzo poważne znaczenie i była rzeczywiście ceniona. Rola jej była znacząca, a przy tym doceniana przez obie strony – pedagogów i uczniów – w kształtowaniu wrażliwości ludzi młodych. Nastolatków czasów mojej młodości – przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych...

Miesięcznik literacki „Poezja” docierał do mego Lublińca z opóźnieniem, bo nie była to przecież metropolia. Niemniej pojawiały się zazwyczaj trzy czy cztery egzemplarze pisma i natychmiast znikaly. Każdy numer był czytany przeze mnie literalnie od deski do deski. Ale nigdy nie wysłałem tam swoich wierszy celem publikacji. Tak bardzo przemożny ogarniał mnie wstyd, który działał wręcz odstręczająco. Chyba tylko Jacek wiedział o tym, że piszę poezję. I o tym, co się dzieje w moim wnętrzu. Wiersze moje z lat wczesnej, chmurnej młodości, nosiłem potem w specjalnej, pięknej przedwojennej walizeczce, którą dała mi babcia. Okazało się, że nosiłem durnie...

Ukradziono mi ją pewnego razu, grudniową nocą, w przedziale, kiedy zasnąłem, znużony ciemnościami i monotonią stukotu pociągu...

Matura była wtedy, jak to się mówi: „w moich czasach”, bardzo trudna do zdania. Obowiązywał wszak egzamin pisemny, i to nie lada trudny, a potem także i ustny, z każdego zdawanego przedmiotu. Zatem jeśli ktoś zdał pisemny, posiłkując się ściąganiem, to na egzaminie ustnym nie miał już żadnych szans i musiał oblać. Wychodziło wtedy szydło z worka, i to niemal w stu procentach przypadków.

Na maturze z polskiego pisałem o dramacie romantycznym, ale w świetle doświadczeń współczesności, a zatem pojawili się Kordian, Balladyna, Konrad Wallenrod – bo oni wszyscy to byli moi przyjaciele! Ocenę z języka ojczystego uzyskałem najwyższą, także z przedmiotów ścisłych również dawałem sobie radę zupełnie dobrze – startowałem w szkole w olimpiadach matematycznych i też zachodziłem wysoko, zdobywając dość dobre miejsca. Wówczas obowiązywały wymogi jeszcze z dawnego świata, takiego, jakiego dziś już nie ma. Mianowicie, człowiek marzący o czymś naprawdę istotnym w swym życiu musiał być wszechstronnie wykształcony, nie powierzchownie i wyrywkowo. Mieć ogólną wiedzę nie tylko humanistyczną, ale i ścisłą. Nie stosowano żadnej taryfy ulgowej, ani nawet nie myślano takimi kategoriami. Dawny świat, dawni nauczyciele, dawne wymogi, zasady, podejście i standardy! Nie można było sobie „darować” matematyki, chemii lub fizyki, a poza tym ja i moi wszyscy koledzy bez wyjątku, kiedy czegoś nie wiedzieliśmy lub nie rozumieliśmy, to staraliśmy się to zgłębić obligatoryjnie, z całkowitym przekonaniem o sensie tego i konieczności zdobycia tej wiedzy. Także by nie zawieść zaufania wychowawców i profesorów oraz zaspokoić swą organiczną, nienarzuconą potrzebę zdobycia interdyscyplinarnego wykształcenia. Nauczycieli traktowało się jak rodziców w sensie duchowym i liczyło z ich zdaniem, jak ze zdaniem matki czy ojca. Profesorowie natomiast tak bardzo mnie, i oczywiście wszystkim pozostałym, ufali, że poczucie wspólnoty, znaczenie wspólnej pracy, identyfikacja jej celu i funkcji jako dawanego nam bezcennego dobra, wzbudzała najwyższy szacunek, pełne zrozumienie, przywiązanie i wdzięczność.

• • •

Mój Ojciec był nauczycielem i pomagał mi w moich zmaganiach z wiedzą oraz własną słabością czy zniechęceniem. Zawsze bardzo we mnie wierzył. Uczył matematyki w szkołach oficerskich, matematyki specyficznie trudnej, a zatem nie mogłem czegoś nie wiedzieć, nie rozumieć czy nie pojmować w zakresie o wiele przystępniejszej matematyki szkolnej. Z innych przedmiotów ścisłych podobnie, bo z dwóch stron jednocześnie wywierany

Spis treści

Autobiografia dyrektora Teatru Polskiego Radia
(*Anna Kuligowska-Korzeniewska*) 6

Słowo na powitanie 9

Kropelki deszczu 13 | Mocne słońce 14 | Czerwony rowerek 15 |
Wysoki kamień 16 | Dłoń Mamy 16 | Mama 16 |
Rodzinna kronika 18 | Moi koledzy 22 | Zielone oko 23 |
Szkoła w Brzegu 23 | Liceum w Lublińcu 24 | Pierwsza przyjaźń 26 |
Dusza samotnicza 27 | Poezja, poezja... 32 | Adam Mickiewicz 34 |
Moje studia reżyserskie 35 | Ewolucja 41 | Con amore 42

PLEJADY 1 43

Splendid isolation 51 | Syn Wojciech 51 | Odejścia 51 |
Moje przyjaźnie 52 | Moja Warszawa 53

PLEJADY 2 59

U siebie i na swoim 68 | Łazienki i nie tylko 68 |
W radiowym teatrze 71 | Wielki Splendor 73

PLEJADY 3 79

O biografach 89 | Zbigniew Kopalko 92 | Juliusz Owidzki 94

PLEJADY 4 97

Reżyser radiowy 106 | Prix Italia 111 | *Z głębokości wód* 113

PLEJADY 5 117

Cyrk odjechał... 129 | *Matysiakowie...*, *W Jezioranach...* 130 |
„Dwa Teatry” 132 | Sztuka przetrwania 140 |
Filozofia poprawnego bytu 141 | „Strofy dla Ciebie” 142

PLEJADY 6 145

361

Szczęście codzienności 154 | O języku w paru słowach 154 |
Dystanse, dystanse... 155 | Stefan Żeromski 157 |
Bolesław Leśmian 160 | Wiesław Myśliwski 161 |
Janusz Głowacki 162 | Mój Muranów 163 |
Isaac Bashevis Singer 166

PLEJADY 7 169

Polska 181 | Zagranica 185 | Jerozolima 187 |
Norymberga 189 | Stefania Grodzieńska 191

PLEJADY 8 193

Słowo, czyli byt 201 | O polskiej kulturze wątki 201 |
Juliusz Słowacki 203 | Stanisław Wyspiański 203 |
Radio osobiste 204

PLEJADY 9 207

Teatr 217 | Kino 217 | Telewizja 219 | O radiu jeszcze 220 |
Co minęło 223

LUDZIE RADIA 225

Krajobrazy z drogi 270 | Pory roku 270 | Drzewo zwierzeń 272 |
O byciu sobą 272

VARIA 275

Filipina 296 | Wrony Kukuły 297 | Pszczoła w parku 298 |
Pierwszy pies 299 | Na koń! 301

PLEJADY 10 303

Kolorowe cukierki 312 | Las 312 | Góry 313 | Morze 314

Osiemdziesięciolecie Polskiego Radia 316 | Radiowa podszywka 316 |
Czas na wagę złota 317 | Uwaga! Nagranie! 318 | Małe wielkie 320 |
Trudy tworzenia 322 | Narrator 325 | Struktury i konstrukcje 327 |
Teatr od konsolyty 328 | Producenci-cudotwórcy 330 | Prawnie
poprawnie 331 | Raźniej na duszy 334 | Marzenia radiowe 335

Muzyka w radiu	336
Słowo na pożegnanie	342
Podziękowanie (<i>Tomasz Lerski</i>)	350
Indeks osób	351
Źródła fotografii	359

Jeden z kilku najważniejszych ludzi, jakimi los zechciał mnie obdarzyć. Głęboki, skryty i małowówny. Jego świadomość słowa, takt i czułość okazywana aktorom są od dziesiątków lat bodaj najważniejszym spoiwem teatru radiowego. Wyróżniały, a jednocześnie wymagający artysta. Nieprzerwanie oddający bez mała całego siebie idei sztuki słowa. Dziś Mój Szanowny Przyjaciół wspomina... Co? Kogo? Przecież znał wszystkich wielkich: Łomnickich, Holoubków, Świderskich i Zapasiewiczów. Sam jestem bardzo ciekaw, choć – zdawać by się mogło – znam Go, jak mało kto.

Krzysztof Gosztyła

To nie tylko wrażliwy twórca, reżyser, poeta, menadżer, erudyta – uważnie parzący i słuchający. To także błyskotliwy mówca. Mój niezawodny przyjaciół. Wspaniale, że zdecydował się dopuścić nas do swojej niecodziennej codzienności.

Grażyna Barszczewska

Poetycka dusza, wyobraźnia bez granic, mrówcza praca i wysublimowany gust. Wszystkie te zalety, potrzebne, by być artystą, posiada w nadmiarze mój przyjaciół – Janusz Kukuła.

Marian Opania

Janusz Kukuła kocha radio. Jako dyrektor Teatru Polskiego Radia kontynuuje najlepsze wzorce i tradycje swoich znakomitych poprzedników. Praca z nim jest zawodową i towarzyską przyjemnością. Myślę, że jego wspomnienia będą pasjonującą lekturą.

Magdalena Zawadzka

Mądrość, dobroć, lojalność to przymioty rzadkie w dzisiejszych czasach. Do tego inteligencja i profesjonalizm dopełniają obrazu Janusza Kukuły. Potrafi słuchać i potrafi milczeć. To erudyta dbający o polszczyznę. Jestem zaszczycony, że zalicza mnie do kręgu swoich przyjaciół.

Marcin Troński

Każde spotkanie z Januszem Kukulą, każda z nim rozmowa są dla mnie niezapomniane. Janusz Kukuła jest według mnie wspaniałym dyrektorem, reżyserem i pedagogiem. Uważam go za mojego Anioła Stróża.

Michał Żebrowski



**POLSKIE
RADIO**

www.czytelnik.pl

RÓWNIEŻ JAKO
E-BOOK

